OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 22 Lutego 1865 roku.

Nr 8. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

BANK POLSKI.

W starożytności i do połowy wieków średnich, podobnie jak to dziś jeszcze ma miejsce na Wschodzie, na rynkach miasta, obok innych towarów sprzedawano, czyli mieniano monetę grubszą na drobniejszą, zagraniczną na krajową. Przekupnie odbywali swój proceder siedząc na *ławce*, która we Włoszech zowie się *banco*. Od téj okoliczności powstała nazwa banku, który jest jakby wielkim przekupniem pieniędzy i wekslarzem. W połowie XII wieku naprzód założono go we Włoszech, a mianowicie w handlowéj Wenecji. Z Włoch instytucje te przeszły do innych krajów, jak do Holandji, Anglji, Francji aż i nareszcie do nas. Pierwsze banki były bardzo proste



BANK POLSKI.— (Wycięto w drzeworytni Waldheima w Wiedniu).

w swojem urządzeniu i operacjach, zwykle zakładane przez kupców dla własnéj dogodności, a więc *prywatne*. Później dopiero rządy widząc korzyść dla siebie w takich instytucjach; obdarzały je rozlicznemi przywilejami lub też zakładały podobne na własną rękę. Tym sposobem banki publiczne, czyli narodowe odróżnione zostały od banków prywatnych, czyli od bankierów. Najważniejszą różnicą, jest zwykle przywiléj wypuszczania *biletów bankowych*, czyli papierowych pieniędzy, których wartość zabezpieczoną jest na złocie, srebrze drogich kamieniach, dobrach, jednem słowem na całym majątku bankowym. Przywilej ten przecież w krajach dobrze urządzonych, gdzie kredyt jest rozwinięty jak w Anglji, Szkocji, Ameryce południowéj, służy także i ban-

kom prywatnym, ale tylko w ograniczonej mierze.— W Polsce od wieków już rozumiano korzyści banku i przemyśliwano nad jego założeniem (Frycz, Modrzewski, Skarga, Jan Zamoyski), lecz okoliczności nie dozwoliły tego uskutecznić. Aż dopiero staraniem Ministra skarbu ks. Lubeckiego, instytucja banku Polskiego przez Rząd założoną została w 1828 r. Głównie przeznaczono ją do pomocy w czynnościach umorzenia długu krajowego, oddając wszystkie dochody banku na ten cel, tudzież do podźwignięcia handlu i kredytu. Nadano mu przywilej wypuszczania biletów bankowych, które znane są powszechnie naszym czytelnikom. Ażeby bank spełniać mógł te wszystkie swoje obowiązki uposażano go majątkiem, który w rozmaitych czasach powiększano, aż doszedł dziś do summy złp. 53 miljony z okładem. Bank jednak większą daleko summą rozporządza, gdyż postanowieniami rządowemi do jego kassy składane są: wszelkie summy sądowe, depozytowe, małoletnich, kaucje, fundusze depozytowe miast, niehipoteczne summy kościelne, instytutowe, fundusze emerytalne urzędników, towarzystwa kredytowego, nareszcie pieniądze złożone przez prywatnych. Wszystkiemi temi funduszami Bank obraca, i płaci od nich pewien procent. Zrozumiawszy, co to jest bank, czytelnicy nasi zapytają może, jakie korzyści w swem skromnem stanowisku odnosić mogą z tej instytucji? Postaramy się im odpowiedzieć szczegółowo. Naprzód pamiętać należy tę ogólną uwagę, iż Bank Polski, nie załatwia interesów niedochodzących złp. 200. Składanie do depozytu banku pieniędzy na procent dla bezpieczeństwa, czynność najprostsza i najpierwsza, wtedy dopiero może mieć miejsce, kiedy summa przenosi 200 złp. Lecz zwykle tak drobne summy rzadko są składane, gdyż od tego są kassy oszczędności, przyjmujące do dwóch tysięcy złotych wnioski.

Przytem kassy te przy składaniu i przy odbiorze, wymagają mniejszych formalności i płacą większy procent. Bank bowiem Polski, ograniczony w swych działaniach instrukcją, posiadając ogromną ilość kapitałów, którym trudno dać obrót, ścieśnia przyjmowanie prywatnych pieniędzy na procent, płacąc nizką prowizyję 2 do $2\frac{1}{2}$ złp. od stu. Składane pieniądze do Banku mogą być do jego rozporządzenia, a wtedy Bank płaci prowizję, albo też opieczętowane depozyta, czy to pieniężne w papierach publicznych, jak listy zastawne, obligacje skarbowe i t. d., czy kosztowności, za przechowanie których Bankowi płaci się mały procent.

Drugą ważną czynnością banku jest: otrzymywanie od niego pożyczek. Dostać zaś pożyczkę z banku można: 1^0 składając w zastaw kosztowności, srebra. 2^0 papiery publiczne 3^0 towary i wyroby wszelkiego rodzaju do składów banku, 4^0 nareszcie przedstawiając swoje weksle do eskontowania bankowi. Niepotrzebujemy zdaje się objaśniać, iż w trzech pierwszych wypadkach, każdy posiadający dostateczne przedmiota, pożyczkę uzyskać może. Dla kupców jednak i przedsiębierców, najważniejszym jest czwarty. Bank polski skupuje weksle takich tylko osób, które majątkiem i osobistym charakterem przedstawiają pewność wypłacalności w oznaczonym na wekslu czasie. Ludzie więc średnich fortun i mało lub wcale nieznani w świecie, nie mogą uzyskać tą drogą kredytu. Lecz zostaje im inna, gdyż mogą albo szukać osoby któraby, mając kredyt w banku, poręczyła ich weksel, co zowie się *żyrowaniem*, albo też wiązać się w stowarzyszenia solidarnie ręczące za siebie, które łatwiéj w banku mogą wyjednać kredyt. Stowarzyszeń takich kredytowych przykładem jest spółka stolarzy Warszawskich, wzór godzien naśladowania i przez innych rzemieślników. Bank polski służyć jeszcze może do ułatwiania przesyłek pieniężnych na różne rynki zagraniczne. W tym celu albo się przedstawia własny weksel i bank takowy poręcza czyli żyruje, albo się też kupuje w banku weksel na żądaną summę i termin. Za to płaci się bankowi procent.

Kto ma częste stosunki z bankiem jak np. kupcy, przemysłowcy; kto składa pieniądze, podnosi, wystawia weksle, wysyła je za granicę lub w kraju, ten urządza sobie tak nazwany rachunek bieżący (conto curento), który dopiero w końcu roku się zamyka. Bank Polski załatwia te interesa wszystkie na wielką skalę, posiadając rozliczne stosunki. O kredytach rolniczych banku pomówiemy innym razem, jak również o fabrykach własnością téj instytucji będących. Tutaj wspomnieć nam tylko wypada, iż Bank dla ułatwienia fabrykantom i kupcom w Łodzi korzystania z kredytu, otworzył swój kantor w tem mieście. Jest on więc filją banku, i życzyć należy, aby i inne większe miasta podobne zakłady otrzymały. Przy banku mieści się także instytucja osobna zwana *giełdą Warszawską*, o któréj w swoim czasie pomówiemy.

Rycina zdobiąca nasz artykuł jest wyobrażeniem gmachu bankowego, wzniesionego przy rogu Ulicy Elektoralnéj, w roku 1825 podług planu Antoniego Corazzi. Jest to piękna budowa w stylu włoskim, ozdobiona portykiem, czyli galerją kolumnową. Wielka w środku sala giełdowa jest bezwątpienia najobszerniejszą w całéj Warszawie. Piękny przed bankiem plac, odkrywający na ten gmach widok, urządzony został przed kiku laty w trawniki, a obecnie zasadzony klombami, co do upiększenia miasta niemało się przyczynia.

PODRÓŻ w TATRY.

(*Ciąg dalszy.*—Patrz Nr. 3, 4, 5 i 6).

V.

KOŚCIELISKA.

Najpiękniejsza to ustroń Tatrów; tu natura chwali się oku ludzkiemu swemi urokami. W dolinie *Pięciu-Stawów*, którędy was poprowadzę do *Morskiego Oka*, jest ponura, groźna—tu powab, tam tatrzańska przyroda pokazała swoją siłę, tu roztoczyła dziewicze wdzięki swoje. Wyobraźcie sobie górę rozpękniętą w podłuż w czarowny wąwóz, ubierzcie każdy załom skały, każdą rozpadlinę w drzewa, bujną zieloność i kwiaty; rzućcie na te blaski słoneczne, a będziecie mieli przed sobą choć blady i niewyraźny obraz téj pięknéj igraszki fantazji przyrody. Ściany głębokiego wąwozu błyszczące *miką*, wydają się niby warowne zamki, sterczące groźno nad przepaściami; na tych murach niby senne mrzonki natury róże dziwy: to sowa zasępiona z opuszczonemi na dół skrzydłami, to biała Dyjanna z zielonych lasów wychodząca z dżyrytem, to wielkie głazy, jak śpiące olbrzymy; a u spodu ścian wdzięczy się czysty Dunajec, i szumi i skacze po omszonych kamieniach. Wzdłuż Dunajca kamieni pełna dróżynka czepia się skał i kręci się na różne strony.

Taki jest ogólny zarys Kościelisk. Wejście do te-

go uroczego ustronia stanowią dwie skały, tworzące piękną naturalną bramę, przez którą przeciska się Dunajec i drożyna. Za tą bramą rozciąga się zielona równina, przecięta błękitną rzeką, a po skrajach jéj wysuwają się lesiste stoki gór jedna za drugą, coraz gęściejszą zasłoną sinawéj mgły okryte, daléj dopiero następuje ów wąwóz, najpiękniejsza część Kościelisk, a w głębi krajobrazu wznosi się *Pyszna*.

Zanim jednak te wszystkie cuda zobaczysz, jeszcze przed wjazdem do bramy, spotykasz osobliwość, dziwy świata, o którym bajeczne podania nam gwarzą, dziwy świata przedpotowego. Na lewo od drogi, pod lesistym pagórkiem, leży kupa szarych kamieni, odłamów skały. Te kilka okruchów, to rodowód tatrzański; w kamieniach bowiem są skamieniałości ślimaków morskich najrozmaitszych kształtów. Patrząc na te ciemne deseniki na kamieniu, przeniosłem się w prastare zamierzchłe wieki, kiedy o granitowe tatrzańskie skały tłukły się bałwany nieprzejrzanego oceanu; kiedy tu, gdzie ja teraz stoję, rzucały się po głębiach potwory morskie, o których nam bają klechdy ludowe. I dziwna, że z owych czasów niema nigdzie szkieletu człowieka w skamieniałéj trumnie warstw napływowych, więc domyślać się należy, że tu człowiecze oczy nie patrzyły na ten świat. Tworzył się on dopiero dla niego, jak wielki gmach pełen dziwów i tajemnic, które człowiek powoli odkrywa i odgaduje. W ziemi pełno rzeczy zakrytych przed okiem jego, w powietrzu pełno żyjątek, których przez najbystrzejsze szkła dostrzedz nie może; a wieleż zwierząt znamy, patrzymy na nie, a nie wiemy na co żyją. To dopatrywanie myśli Bożéj w rzeczach stworzonych, zdzieranie z nich tajemnicy—to życie; gdy ludzie to wszystko odkryją, zrozumieją, wtedy będzie chyba koniec tego świata.

Takie myśli zajmowały mnie czas długi, a małe góralskie wózki szybko niosły nas ku Kościeliskom. Gdyśmy przejechali bramę, zaleciał mnie zapach malin i fijołków. Myślałem, że to złudzenie, a jedna z dam rzekła:

— Jak tu ślicznie pachną fijołki.

— O téj porze—zdaje ci się Olesiu—rzekła jéj siostra.

— Nie pani,—to fijołków zapach—rzekł jeden z młodych, zeskoczył z wózka, poszedł kilka kroków ku rzece, i przynosząc czerwonawy kamień rzekł z uśmiechem:

— Oto tatrzańskie fijołki.

Kamień miał na sobie purpurowy porost pachnący, szczególniéj za potarciem lub zwilżeniem. Późniéj nieraz w Zakopanem, rankiem lub po deszczu wychodziłem nad Dunajec, i z przyjemnością oddychałem powietrzem przepełnionem wonią fijołków.

Ale wracam do opisu wycieczki. Dojechawszy do karczmy stojącéj u podnóża *Upłazu*, pokrzepiwszy się nieco i napiwszy się zimnéj wody ze źródła obficie na dwie strony bijącego, weszliśmy w wąwóz. Ja odbiegłem nieco naprzód od towarzystwa, i szedłem razem z przewodnikiem, bo lubo panna Aleksandra żywa, wesoła blondynka i jéj siostra rumiana brunetka Marynia, wesołą rozmową ożywiały towarzystwo, ja wolałem się na chwilę wyrzec tych przyjemności, które tak lubię, bo wolałem porozmawiać duchem z naturą, która tylko głęboko w nią patrzącym tajniki swoje odkrywa. Do tego, góral mieszkaniec tych okolic więcéj mi mógł powiedzieć, niż panna Aleksandra.

— Widzicie paniczu—mówił—to jama, co się czerni tam za smerekami u góry, to zbójecka.

— Więc tu byli u was rozbójniki.

— A gdzieżby się podzieć mieli? Szkoda, że nie idziemy w górę, tobyście panie zobaczyli tę jamę—dużą, żłobioną w skale, jeszcze są ślady komina i leżyska — a od téj jamy idą kręte chodniki w skałę i kończą się nad przepaścią. Ostatni zbójca tędy uciekał przed żandarmami.

— A teraz nie ma już u was rozbójników?

— Gdzie tam nie ma—ale to już nie rozbójniki, jeno rabusie. Dawniéj rozbójniki napadali dwory i zamki—to też mieli złota i kamieni co niemiara; dziś obdzierają gazdów z czego mogą i kradną.

Ledwie tych słów domówił, gdyśmy wychodząc za zakręt wąwozu zobaczyli dwóch górali, o ciemnych twarzach, czarnych długich włosach i ponurem wejrzeniu. Za pasem mieli noże i pistolety. Przeszliśmy mimo nich, nie zaczepili nas, tylko chmurnemi oczyma nas odprowadzili, aż im zniknęliśmy.

— Kto to?—spytałem górala.

— To panie, ci rozbójnicy, co wczoraj wzięli na Upłazie barana, a gdy sobie podjedli z juhasami, poszli do karczmy, i wszystką wódkę karczmarzowi wypili.

— I nic im nikt nie mówi?

— I co im gadać, kiedy mogą pistoletem albo nożem odpowiedzieć za niemiłe słowo.

— A czemu ich wojsko nie ściga?

— Ta chodzili za nimi żandarmi cały tydzień, ale co im zrobią? Żandarm sobie idzie drogą i szuka, a oni gdzie za skałą lub drzewkiem leżą i śmieją się z nich. Ale raz było już krucho z nimi. Spali za wsią w szopie, ktoś dał o tem znać żandarmom, otoczyli szopę, przetrząsnęli siano do szczętu, znaleźli noże, pistolety, odzież nawet, ale oni sami wyślizgnęli się gładko. Na drugi dzień żandarmom przysłali kartkę, żeby ich po próżnicy nie szukali, bo jak przyjdzie zima i śnieg góry przysypie, to oni sami pójdą na mieszkanie do kryminału.

— A czemu nas nie zaczepili?

— Bo czuli, żeśmy nie sami.

Tak rozmawiając, doszliśmy do źródeł Czarnego Dunajca. Wypływa on ze skały przez otwór w kształcie sklepionego łuku. Zajrzałem w ciemny otwór i przy odrobinie światła wpadającego ukośnie do groty, zobaczyłem, że ta ciągnie się dość daleko w różnych zgięciach, a woda zimna, przejrzysta jak szkło seledynowego koloru do połowy ją zapełnia. Seweryn Goszczyński przebywając rok prawie cały w tych stronach, był i tu także i wszedł do podziemnych źródeł groty, mimo, że nieraz zimna woda i ciasne przejścia niepodobnym prawie czyniły przechód. Z jego opisu wiemy, że wązka rozpadlina rozszerza się potem w ogromną grotę, któréj dno stanowi gładka, kryształowa powierzchnia wody, a sklepienie pełne stalaktytów przypomina zaklęte zamki z powieści gminnych. Tu zapewne podanie umieściło śpiące wojska króla-pokutnika. (Bolesława Śmiałego).

Skała, z pod któréj wypływa Dunajec, pokryta jest tysiącami podpisów ludzi zwiedzających te strony i dla tego zowie się Pisaną.

Wypocząwszy trochę przy źródle, ruszyliśmy daléj. Na prawo od drogi uderzył mnie krzyż drewniany, wbity w duży okrągły kamień. Krzyż stał w smutnym cieniu świerków, a na nim był wyrznięty napis: „I nic nad Boga.”

— Na jaką pamiątkę ten krzyż stawiany?—spytałem górala.

— Widzicie panie, że krzyż nie w ziemię wbity, ale w kamień młyński, a drugi taki kamień leży o tam w dole w rzece. Otóż dawnemi czasy, kiedy tu w tych górach złotą rudę tarto, a było to za starego króla, był mielnik wielkiéj siły. Pan Bóg dał siłę, ale mielnik zapomiał o tem i pysznił się i przechwalał przed ludźmi. Aż raz założył się, że dwa kamienie, którymi tarł złoto, przewiezie z gór do wsi. Nikt nie chciał wierzyć, bo droga wązka i kamienista, koń nie uciągnie i samemu trzeba ciągnąć nieraz i nadnosić wozu, a tu kamienie straszne. Odradzali mu więc, zwłaszcza, że to było święto; ale mielnik się uparł i rzekł: a cóż to, czy ja we święto słabszy? Jak wziął tak i pojechał. Aż gdy tu doszedł, wózek się pochylił, on nadbiegł go podeprzeć, ale upadający kamień przywalił go i zabił. Otóż widzicie panie, na pamiątkę tego i dla przykładu ludziom, ten krzyż postawili.

Panie uklękły do krótkiéj modlitwy—a ja idąc daléj z góralem, pytałem go:

— Więc tu u was dawniéj były kopalnie złota?

— O były panie, jeszcze doły zostały po nich tam na prawo. Bo tu u nas w górach dużo złota, ale złe ich przysiadło, więc trudno znaleźć.

Takich podań o zaklętych skarbach, o kopalniach złota, mnóstwo krąży w ustach ludu. Lud biedny, kraj niepłodny — za to fantazja bogata zapełniła go duchami i złotem. Fantazja stoi w odwrotnym stosunku do realnego posiadania; im więcéj mamy tem mniéj sobie wyobrażamy. Nie ulega wątpliwości, że w Tatrach kiedyś istniały kopalnie złota, ale te zarzucić musiano, bo się nie opłacały. W ostatnich latach w Nowotarszczyznie podobne próby robiono, ale także przekonano się, że ruda skąpo procentuje. Fantazja ludu jednak nie oblicza tego i nie wierzy temu, ale uporczywie rozpowiada o wielkiem bogactwie gór swoich, a że ich odkryć nie można—to przypisuje grzechom ludzkim i złym potęgom.



Wąwóz w Kościeliskach.
(Rysował Kozarski. — Wyciął na drzewie Stifi).

Nie daleko za krzyżem kończy się wąwóz właściwy—ściany się rozszerzają i lesistym pagórem wstępuje się coraz wyżéj, coraz bystrzéj aż na Pyszną. U spodujéj stoją szałasze najbogatsze na całem Podhalu, bo liczące do tysiąca owiec. Kiedym się zbliżył ku szałaszom, dwa wielkie, białe liptowskie psy groźnie ujadać poczęły, a ich wielkie zęby i czarne podniebienia kazały się domyślać, że groźba nie próżna.

— Nie bójcie się panoczku — psy wam nic nie zrobią.

Spojrzałam zkąd głos szedł i zobaczyłem śliczną rzecz dla malarza.

Na wystarczającym kawałku sinéj skały, wśród nizkich zarośli, stał młody juhas w ciemnéj koszuli, świecącym pasie, jakąś płachtą odziany i oparty na kiju. Czarne oczy błyszczały z cieniów kapelusza, a gdy usta otworzył, białe zęby pokazywał. Przyjrzałem mu się z blizka i poznałem mojego znajomego.

— Kuba! zawołałem.

— To wy paniczu—krzyknął i ucieszony skoczył jak koza ze skały i począł mnie witać—i pytać o zdrowie, o Tereskę i jéj brata, o życie we wsi, jak mi się góry podobają i t. d. i wiódł ze sobą do szałasu.

Właśnie spędzono owce na dój — zamknięto je w koszarach, u otworów siedzieli juhasy i przepuszczając owce przez otwory doili po kolei. Potem wlano wydojone mleko do kotła zawieszonego wśrodku szałasu, naniecono ognia i poczęto warzyć, dodawszy rozpustki, dla tem prędszego rozdzielenia sera od serwatki. Następnie baca umywszy starannie ręce począł zbierać ser w bryły—i częstował gości serem i serwatką, która jeszcze dość cząstek sera zawierała.

— Więc tę żentycę (serwatkę) piją chorzy?

Uśmiechnął się baca.

— Ej, nie panie, choremu na żołądek za ciężka by była żentyca z serem. My tę wodę zielonawą, co na samym wierzchu pływa, zbieramy i posyłamy chorym. To najzdrowsze.

— A jak ser robicie?

— Ściska się panie albo w oszczeszki, albo w kamienie, suszy się, no i sprzedaje. Chodźcie zobaczyć.

I poprowadził mnie do drugiéj przedziałki szałasu, gdzie na półkach stały rzędem poustawiane sery.

— I któż zabiera od was te sery?

— A gazdowie, co owce dali. W tydzień po wypędzeniu owiec przychodzą tu na dój, mierzą wiele owce dają mleka, i układają się z nami, wiele każdy od swych owiec dostanie sera.

— A czem wam płacą?

— Serkami.

— A czem się tu żywicie?

— Także serkami i żentycą. Czasem przejdzie lato, a kawałka chleba nie widzimy, ani klusek.

— To niezdrowo.

— Niezdrowo mówicie? a spojrzyjcie na juhasów. Chłop w chłopa jak dęby — a po halach każdy jak wiatr lata.

— Więc wszystkie owce spędzacie na południe?

— Wszystkie,—tylko mamy dwadzieścia kóz—to te dwa razy dnia się doją, bo daleko na paszę chodzą.

Przyłożył rękę do czoła, spojrzał po górach i rzekł:

— O! widzicie ich—już coraz niżéj schodzą—przyjrzyjcie się jak sznurkiem idą, a na końcu juhas.

— Gdzie?—pytałem naprożno wodząc oczami. Aż przyłożyłem lunetę i zobaczyłem na stroméj pochyłości góry, na samym prawie wierzchu, gdzie już nawet kozodrzewina się nie czerni, małe, białe, ruszające się punkta. Strach przejął mnie i niemogłem pojąć, jak mógł człowiek się tam wdrapać, gdzie tylko orły siadać mogą bezpiecznie.

— Alež tam spaść można?

— Zdarza się to panie, jak noga zawiedzie. Łońskiego roku znaleźli juhasy pod tą górą gnijącego trupa. Z ubrania poznaliśmy, że ten pan kilka dni

przedtem wstępował do naszego szałasu, ale nikt nie wiedział zkąd był i co za jeden. Widać pośliznęła mu się noga, gdy się piął na górę, spadł i zabił się.

Przyznam się, że podobne opowiadanie nie bardzo było miłym prologiem, dla nas, którzy mieliśmy pierwszy raz wychodzić na szczyt góry. Ale spojrzeliśmy przed siebie, widzieliśmy czarne krzaki kozodrzewiny, nad temi zielone stoki góry, na nich coś jakby ścieżki; opowiadanie więc górala wydało nam się bajecznem i z otuchą ruszyliśmy w górę mówiąc paniom: do widzenia.



Skała Sowa i Góra Pyszna.
(Rysował Kozarski.— Wyciął na drzewie Stifi).

Im daléj—tym droga była gorsza, stromsza, utrudzenie coraz było większe. Przekonaliśmy się, że te łudzące ścieszki to były rozsypiska kamieni, po których z trudem wielkim piąć się można było, bo się co chwila z pod nóg usuwały. Kozodrzewina wprawdzie pomagała nam nieco, idąc brzegiem niéj, ale za to, gdy który z nas dostał się w jéj powikłane korzenie, z trudnością mógł się wygrzebać, tak gęste są te zarośla, a pod niemi pełno pruchna, w którem więzną nogi. Im wyżéj tem smutniéj, posępniéj. Już i kozodrzewina ustaje, ani szmer strumyka, ani szelest przelatującego ptaka nie zmąci ciszy i ożywi głuchéj martwoty. Źle by tu było człowiekowi, gdyby nie to uczucie potęgi, jakiéj człowiek doznaje, widząc, że wszystko u nóg jego, że on panuje nad tą naturą i wszędzie się wdziera. To spinanie się coraz wyżéj i wyżéj jest już w namiętności ludzkiéj, i choć siły słabe, widok szczytu wabi nas. A jak to smutno, upokarzająco, gdy stanąwszy na szczycie zobaczymy, że on dopiero podnóżkiem drugiego szczytu.



Babia góra. (Rysował Kozarski. — Wyciął na drzewie Stifi).

Dochodząc do samego wierzchu, natrafiliśmy na największe trudności. Góra stroma, obrosła śliską trawą, a za nami bystra i głęboka pochyłość góry. Ze strachem wgramoliliśmy się na szczyt, ale też widok wart był trudu. Cała droga zmieniła się dla nas w równię pochyłą—owe pagórki, doły, któreśmy z takim trudem omijali i przechodzili, znikły, wyrównały się w jeden stok góry. Zdawało się patrzącemu, że gdyby zleciał z wierzchołka—to by leciał i leciał, ażby się stoczył w wąwóz Kościeliski. Po drugiéj stronie góry siniały węgierskie równiny oświecone po południowem słońcem. W około nas sterczały szczyty innych gór, zdawały się zdziwione pytać karłów ludzi, po co wypełzali na ich olbrzymie grzbiety. Wiatr dął silny i po zmęczeniu i rozgrzaniu, teraz dojmujące zimno nam dokuczało. Obok nas rozciągały się szerokie, białe płachty śniegu. Śnieg w samym środku lata—dla mieszkańców dolin, to niespodzianka. To też cieszyliśmy się nią jak dzieci.

Po czterogodzinnéj wycieczce wróciliśmy do pań czekających w szałasie. Juhasy wyszli naprzeciw nam. Spoczęliśmy chwilkę, a potem zabraliśmy się do odwrotu.

— Wy pewnie z Krakowa?—spytał baca.

— Pozdrówcie tam mojego syna S., jest w szkołach.

— Tak, w szkołach i dobrze się uczy?

— Bardzo.

— Będzie z niego kiedyś człowiek.

— Niech tylko będzie uczciwym i rozumnym góralem, ja więcéj nie chcę.

— Jakto więc wróci na wieś po skończeniu szkół.

— Tak, jak i ja wróciłem panie. A na co nam się zda kształcić dzieci, jeżeli każde wyuczywszy się poleci w świat, a górale najmniéj z niego mają. Niech to czego się nauczy w świecie, swoim przyniesie i ich uczy—to będzie pożytek.

Odszedłem zbudowany roztropnością górala—wracaliśmy spiesznie, bo już na niebie róg księżyca srebrzeć poczynał. Późno już doszliśmy do naszych wózków, i przy księżycu wracaliśmy do domu.

Siadłem przy góralu, co nas wiózł, by z nim pogwarzyć.

— No, jakże wam się widzą Kościeliska?

— Bardzo mi się podobały, ale zkąd je ludzie Kościeliskami przezwali.

Pono dla tego, że tu pierwszy kościołek katolicki stanął? spytałem.

— Nie wierzcie paniczu. Tu nigdy kościoła nie było; ale co kości, to było mnogo.

— Jakto było?

— Ot tak, kiedy na Zielone Świątki—ale temu bardzo dawno—palono tu sobótki—trzy dziewczęta wzięły się za ręce i poszły w las na zioła. Aż zrobił się szum wielki, i w kłębie piasku, liści i kwiatów przeszedł mnich. Dziewczęta potrwożone wróciły do ognia i powiedziały o mnichu. Starzy poczęli ki-

wać głowami i mówili: będzie nieszczęście. Niedługo czekać było; bo ano z dolin przyleciały płaczące kobiety i lud obdarty i wołali: Tatary rabują! Tatatary nas gonią. Lament się zrobił wielki, ale starcy rzekli mądre słowo, młodzi chwycili za toporki i w las. I wnet przyciągli nad brzeg przepaści ścięte drzewa i duże kamienie. Potem cicho się stało, jak w grobie. Tatarzy wyjąc jak psy nadciągnęli i rzucili się na drogę, co szła wąwozem. Gdy już ich pełno było—wtedy krzykną górale, a kłody, drzewa i ciężkie kamienie spadły na głowy Tatarów i stały się im mogiłą. Więc od kości tatarskich to miejsce Kościeliskiem się zowie. *(Ciąg dalszy nastąpi).*

OPIEKUN DOMOWY.

Jam, ani duch, ani ciało,
Jam tylko tchnienie skrzydlate,
Co wśród was zamieszkało,
Słodząc wam Raju utratę.
Ja skryte myśli w was zgadnę,
Ja to, co sercem mieć chcecie:
Wszystko co mądre, co ładne,
Wszystko, co dobre na świecie.

* * *

Jam i skowronek z nad niwy,
Który zbudzenie wam dzwoni.
Jam także wietrzyk pieściwy,
Który wam chłodzi znój skroni.
Jam też, gdy skończy się praca,
A na kominku żar błyska,
Radość, co znowu was wraca,
Do domowego ogniska.

* * *

Ja wam żon strzegę i dziatek,
Gdy z niemi być nie możecie,
By w domu wzrastał dostatek,
A w Bożéj bojaźni dziecię.
Mnie wasza czeladź jest droga,
Jeżeli służy wam szczerze,
I nawet pies, co u proga,
Waszego mienia wam strzeże.

* * *

W radosnéj, czy w smutnéj chwili,
W domu, czy w polu—w warsztacie,
Byleście wy z Bogiem byli,
To już i mnie z sobą macie.
Wzamian mi czysty dar nieście.
Z uczynku, myśli i mowy
Bo bracia! wiedźcie to wreszcie
Żem wasz *Opiekun Domowy*.

* * *

Mijają lata, rok świeży
W rajskich ogrodach wykwita,
Daléj do rannych pacierzy,
O dziatwo ty pracowita!
Z rożannéj w Niebie kąpieli
Nowy dzień Pański wam wraca,
Z nami jest Pan Bóg, jeżeli
Z nami Modlitwa i Praca!

MIKOŁAJ KOPERNIK.

(Ciąg dalszy.—Patrz Nr. 4, 5 i 6).

Słońce więc nasze zawsze stoi na miejscu, obracając się tylko wokoło siebie, jak na osi, a wszystkie gwiazdy bliskie niego, które są planetami, czyli ziemiami, ciągle zmieniają miejsce; ta zmiana miejsca tych planet dokładnie jest obliczoną, a na dowód tego macie zawsze przepowiedziane naprzód, każde zaćmienie, każde zjawisko na niebie, co dowodzi, że te rachunki, nietylko, że nie są niedokładnemi, ale tak doskonałemi, że nigdy nie mylą. Przypominacie sobie całkowite zaćmienie słońca w r. 1851; już na długo przedtem wiedzieliście o niem, wiedzieliście minutę, sekundę, kiedy nastąpi, i ani na sekundę nie omyliliście się. A wszystkie takie doskonałe rachunki polegają właśnie na tem, że dokładnie odliczonym jest obrót każdego planety około słońca, jako i obrót naszéj ziemi. Gdybyśmy nie wiedzieli, że ziemia nasza się obraca i krąży naokoło słońca, czy moglibyśmy wyrachować kiedy będzie zaćmienie księżyca, które także naprzód zwykle jest przepowiedzianem? Księżyc znowu krąży naokoło naszéj ziemi, jak ziemia około słońca, a jeżeli i to nieprawdopodobnem wydawaćby się wam mogło, to nie pozostaje nam nic więcéj, jak tylko spojrzeć na jednego z planet, biorących światło od słońca, na Jowisza. Otóż przez lunetę widać dokładnie, a nawet niektórzy dostrzegali to gołem okiem, że Jowisz, jak nasza ziemia jeden, ma aż cztery księżyce. Teraz zważcie, czy księżyce te nie krążą naokoło swéj ziemi, jak nasz naokoło naszéj; kiedy dokładnie tam widzieć można, jak jedne księżyce chowają się czyli zachodzą za tego planetę, a inne zbliżają się ku niemu; księżyc który się ukrył, pokazuje się znowu po pewnym przeciągu czasu. Czyż nie jest to najwybitniejszym dowodem, że księżyce te są w ruchu? a tak samo dowieść można, że i planety są w ruchu, że pływają sobie oznaczonemi drogami naokoło słońca. Płynąc zaś tak podługowatem kołem, tworzą przez to pory roku, w miarę tego, jak bliżéj lub daléj znajdują się od słońca. Ale oprócz tego toczenia się naokoło słońca, jak nasza ziemia raz do roku, obraca się ona jeszcze raz na dobę naokoło siebie, czyli naokoło swéj osi; z tego to pochodzi, że gdy jedna połowa obraca się ku słońcu, następuje na niéj poranek i dzień, gdy druga pogrąża się w ciemności.

Nie myślcie zatem, aby niebo było tak wielką tajemnicą dla człowieka, gdyż doskonałość spostrzeżeń posuniętą jest do tego stopnia, że przez ścisłą rachubę i dostrzegane zmiany w biegu ciał niebieskich można wynaleźć tam nawet gwiazdy lub planety, gdzie ich wcale widać nie było, choćby przez lunetę, ponieważ człowiek nie natrafił na nie. Otóż astronom francuzki Leverrier zapowiedział w Sierpniu r. 1846, że w pewnem oznaczonem przez niego miejscu nieba, *musi* być jakiś planeta, jakaś ziemia, gdyż ruch innéj już znanéj planety doznaje pewnych zmian szczególnych. I cóż powiecie, jak zaczęto szukać w punkcie wskazanym nieba w tym samym roku we Wrześniu, niemiecki astronom Galle w Berlinie odkrył rzeczywiście nową planetę Neptuna!

Powiedzą wam nakoniec, że słońce oddalone jest od ziemi na 20,682,000 mil. Jakże tego dowieść? któż zmierzy takie przestrzenie? radzi więc jesteście nie wierzyć temu. Ale gdybyście lepiéj pomyśleli, przyznalibyście możliwość zmierzenia odległości od wszystkiego, od wszelkiego przedmiotu, który dla oka jest widzialnym. Bo jeżeli np. w prostem miernictwie, chcąc wiedzieć ile, dajmy nato, krzyż stojący za szeroką rzeką, oddalony jest od was, dowiadujecie się o téj odległości nie przepływając rzeki, ani nie przerzucając przez nią łańcuchów, tylko przez prostą rachubę, opartą na figurze geometrycznéj; dlaczegóżby więc słońce lub gwiazdy najdalsze nawet, nie mogłyby być zmierzonemi? Każda odległość da się zmierzyć, jeżeli tylko oprócz tego widzianego punktu znajdziesz drugi, tak abyś mógł poprowadzić boki trójkąta. A czyż mało na niebie takich punktów, czyż mało gwiazd?

Niewątpliwie jesteście teraz przekonani, że ziemia obraca się naokoło słońca, zatem jest duszą wielu światów, tak jak nasz, biorących odeń światło i ciepło. Teraz nikt już o tem nie wątpi, każdy już wie o tem. Ale dawniéj, za czasów Kopernika, działo się wcale inaczéj. Ten mówił tak, inny owak i z tego utworzyła się taka gmatwanina, że najbardziéj uczeni ludzie wybrnąć z niéj nie umieli. Mieli oni ciemne pojęcia o tych prawdach niezbitych, domyślali się czegoś, wiele pisali i mówili, jeszcze więcéj kłócili się i sprzeczali, wyśmiewali się wzajemnie; nie mając jednak podstawy do rachunku, ani dość geniuszu do odgadnienia najcudowniejszego tworu Stwórcy, to jest budowy świata, nie umieli też domysłów swoich dokładnie przedstawić, które ciągle pozostawały nadal ciemnemi rozprawy. Mikołaj Kopernik dopiero, spojrzawszy na niebo swym potężnym wzrokiem, uczuł w sobie siłę do wytłumaczenia tajemnic wszystkich światów; on pierwszy dowiódł i okazał, że słońce jest ogniskiem, naokoło którego krąży w szyku harmonijnym urządzonym przez Stworzyciela, mnóstwo planet i księżyców; on pierwszy wskazał i w znacznéj części obliczył te drogi i to, co do jego czasów było niezbadanym chaosem wyobrażeń, w jego poglądzie niesłychanie potężnym, przybrało postać harmonijnego świata, szczytnego porządku, piękności i spokoju. I w istocie cóż piękniejszego, jak ogarnąć myślą taki zastęp światów, odbywający według wskazań odwiecznych swe drogi niemylne, i cóż szczytniejszego, jak uznać potęgę Stwórcy w tem tak doskonałem dziele! Nic na świecie ani na niebie nie jest martwem, nic swoich kształtów na wieki nie zostawia. Kamień z czasem nabiéra większéj objętości, roślina, człowiek rozwija się, pleni i usycha aby zmartwychwstać w potomstwie. Nawet same światy, jak nasza ziemia i inne, nie stoją, nie pleśnieją na miejscu, obchodząc niby w tryumfalnym orszaku, niby z pieśnią niebieską, sfery eterów i gwiazd pełne, gdzie mieszka Stworzyciel. Wskazać taką wielkość przyrodzenia, tak żywo dowieść wielkości Boga, w tak piękny uszykować porządek ciemne pojęcia tylu wieków, nie jest-li to dokonać najpotężniejszego odkrycia we wszystkich czasach, nie jest-li to postawić się na szczycie ludzi? A takim był Kopernik, wiecie teraz, za co mu wdzięczni rodacy pomnik postawili?

Umarł on jednak nie doczekawszy się wawrzynów, które dopiero po śmierci okoliły skroń jego. Prawda, że udało mu się na kilka dni przed śmiercią widzieć wydrukowanem swoje dzieło, które papieżowi Pawłowi III przypisał; zanim to jednak nastąpiło, trapiły go niemało ciągłe intrygi i podstępy, jakiemi podkopywali sławę jego i życie ówcześni uczeni niemieccy. Astronomowie, zwłaszcza norymbergscy, mieniący się mistrzami swéj nauki, nie mogli obojętnie spoglądać na ten kolos potężny, który ich od razu przyćmiewał, w wydaniu więc dzieł jego dopuścili się nawet fałszerstwa, przekręciwszy przedmowę i t. p. Inne znowu głowy zapalone a ciemne, nie mogąc pojąć wielkiego odkrycia, uważali go za heretyka lub półgłówka. I niedaleko od miejsc tych, gdzie dzisiaj postawiono mu pomnik, niedaleko Torunia, bo w Elblągu, w owym czasie wygrywano po ulicy śmieszne parodye téj wielkości. Przedstawiano tam postać Kopernika w obrazach hańbiących, świadczących o całéj nienawiści i ciemnocie tłumu. Kopernik nie sprzyjał Niemcom. Pisał nawet przeciwko nim, oburzając się na nadużycia z powodu fałszywéj monety; urywki mowy téj zachowane są dosłownie do dziś dnia. Ten jego stosunek z Niemcami lepiéj się jeszcze uwydatni tem, że kiedy zawarła za jego czasów Polska z W. Ks. Moskiewskiem przymierze przeciw Krzyżakom, cieszył się z tego otwarcie i głośno, r. 1518, co dowodzi list jego ówczesny dotąd zachowany.

Zdrowie Kopernika, nadwerężone długoletnią mozolną pracą i nauką, zaczęło coraz bardziéj upadać i w kilka dni po ujrzeniu swego dzieła, umarł ten wielki geniusz we Frauenburgu, jako kanonik tamecznéj kapituły, dnia 21 Maja (v. s.) 1543 r. Ciało jego złożone z prawéj strony wielkiego ołtarza katedry Frauenburgskiéj, gdzie dzisiaj znać zaledwie ślady napisów.

Pomniki wzniesione Kopernikowi, w Warszawie i Toruniu wyobrażają ryciny umieszczone w Numerze 4-ym Opiekuna Domowego, a w Nnmerze 5-ym podaliśmy w przerysie piękny projekt pomnika zrobiony przez Jana Farelskiego, zmarłego w 1836 r. Obecnie dołączamy widok pomnika ks. Sierakowskiego, wzniesiony w kościele ś. Anny w Krakowie.

ROZMAITOŚCI.

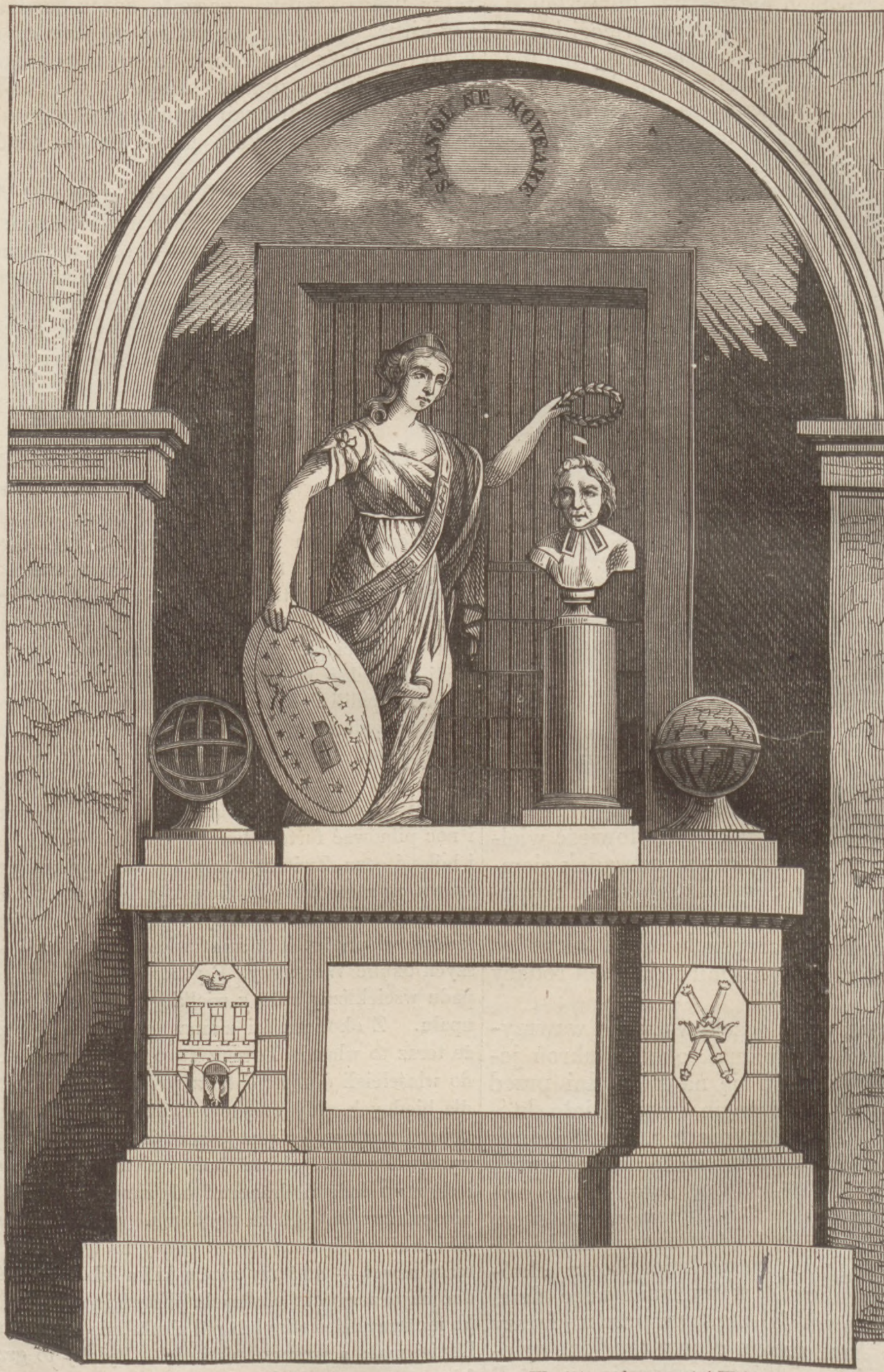
— Luty tegoroczny daje się nam we znaki niemało. Od samego pierwszego, mamy codziennie niemałe mrozy dochodzące aż do 22 stopni. Jak dawni ludzie pamiętają od lat czterdziestu dopiero czwary to taki mroźny Luty. Pierwszy był w r. 1829. drugi w 1830, trzeci w r. 1855 a czwarty obecnie to jest w lat dziesięć. Nieszczęść ztąd bez liku. Codziennie prawie słyszemy, że ktoś wszedłszy z mrozu do ciepłéj izby dostał uderzenia krwi do głowy czyli apopleksji i umarł. To znowu inni, chroniąc się od zimna, napalili dobrze, przed wypaleniem pozamykali piece, czad wyszedł na izbę i zagorzeli biedni lecz nieuważni także ludziska. A co katarów, zaziębień, tyfusów, chrypek, bólów głowy, to i na wołowéj by skórze nie spisał. Szczególniéj chorują stróże domów, którzy obowiązani dzień i noc pilnować furtek, bardzo często ulegają przeziębieniu i bólowi oczu. Zwierzęta nawet szwankują z zimna. Za Warszawą, za rogatkami Ząbkowskiemi w gminie Brudno, z zimna psy dostali wscieklizny, i pokąsali wiele innych psów, kotów, wieprzów. Też same wieści przychodzą i z odległejszych okolic Warszawy. Psy bowiem zazwyczaj dostają napadu wscieklizny albo z wielkiego zimna albo z wielkiego upału. Z okoliczności zimna przypominać wam wypada, że teraz to właśnie Towarzystwo Dobroczynności rozesłało do właścicieli domów listy z prożbą o składkę na drzewo dla biednych. My wszyscy, którzy siedząc w ogrzanym pokoju, doznajemy czasem jeszcze dreszczu zimna, powinniśmy wystawić sobie, jaki to ból i niemoc owładają biednemi i choremi ludźmi drżącemi od zimna i głodu, na jakiem nieopatrzonem dobrze poddaszu. Każdy z nas na grosik jaki taki zdobyć się może: mamy na tytoń, na tabakę, na teatr nawet — możemy zatem kilka lub kilkanaście groszy dać na drzewo dla biednych. Wstydzić się tego, że dać tylko możemy dziesiątkę lub pół złotka, nie warto i niegodzi się. Lepiej mało a szczerze niżli nic. Byłoby to grzechem, dla fałszywego wstydu lub fanfaronady, nie wesprzeć biedaka. i dać mu marznąć i ginąć. Bóg jednakowo przyjmuje grosz wdowi, byle serdecznie ofiarowany, jak i hojne dary bogacza.

— Niedawno pewien obywatel ziemski przybyły do Warszawy zgubił pakiet z 30,000 złotych polsk., w części w listach zastawnych, a wczęści biletami bankowemi czyli papierkami po rs.1, 3, 5,10 i t.d. Pieniądze te znalazł terminator szewcki będący już na wyzwoleniu; ale niechciało mu się pieniędzy zwracać. Więc listy zastawne wrzucił w miejsce

którego tu dla przyzwoitości nie wymieniamy, w jednym z hotelów; a pieniądze w biletach zabrał do domu. Traf chce, że do majstra u którego terminował, na drugi dzień przychodzi z jakimś interesem dozorca policyjny. Chłopak przestraszony sądził że to po niego, bo to zwykle na złodzieju czapka gore — zobaczywszy więc dozorcę, wziął płakać i krzyczeć: „ja oddam pieniądze, tylko nie bierz mnie Pan do kryminału," Dozorca domyślając się czegoś, wsiadł z góry na niego, gdzie ma resztę pieniędzy, i chłopak przyznał się do wszystkiego. Z chłopakiem zatem poszli do hotelu, szukali i znaleźli rzeczywiście pieniądze — i zwrócili prawie wszystko owemu obywatelowi ziemskiemu, a chłopca wzięli do kozy. — Zdarzenie to stwierdza nasze przysłowie, że oliwa zawsze na wierzch wypłynie.

Myśli i Zdania.

— *Herder* umarł z piórem w ręku, którem widzenia przdśmiertne kreślił. Przyjaciele jego, zbliżając się do łoża śmierci, znaleźli rękę jego zimną, wstrzymaną nad kilku wierszami, które tylko co był napisał. Czytano wyrazy następujące: „Przeniesiony w nowe krainy, rzucam wzrok natchniony około siebie. Postrzegam świat, a na nim odbijanie się blasku istoty Najwyższéj, Stwórcy, postrzegam niebo jako przybytek mądrości wiekuistéj... Słabe me jestestwo, zgięte ku nizinie prochu, nie zdoła znieść widoku tych wspaniałych cudów, staje w milczeniu."



Pomnik Kopernika w kościele św. Anny w Krakowie.—(Wycięto w drzeworytni Webera w Lipsku.)

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 10 (22 Lutego) 1865 r.